

ROZNIKA ŚMIERCI RAVELA

Paryż, w styczniu.

Ostatnio dużo pisano tutaj o Maurycem Ravelu z okazji pierwszej rocznicy jego zgonu. Nawet *Paris Soir*, co w rodzaju paryskiego „Czerwoniaka”, poświęcił Ravelowi gorącą notatkę, zamieszczoną na honorowym miejscu, bo... wśród ostatnich wiadomości politycznych. We wszystkich tych głosach prasy codziennej i artystycznej jednomyślnie określono Ravela jako uosobienie geniuszu francuskiego, jako twórcę miary najwyższej, który godnie reprezentuje wkład Francji do skarba kultury europejskiej.

Geniusz Ravela? Ilekróć spotykam się z tym określeniem, zawsze budzi ono we mnie sprzeciw. Nie ma bowiem u tego twórcy żywiołowości geniuszu, nie ma rozpędu i potęgi — jest tylko mistrzostwo, często ośmięwające, budzące podziw i nawet porywające, ale w gruncie rzeczy chłodne; wrażenie jest tutaj rezultatem mądrej, świadomej, konsekwentnej — reżyserii. Ravel był tytanem pracy, geniuszem rzemiosła, rzemiosła świadomie i programowo podniesionego do godności ideału twórczego. Mawiał, że celem sztuki wcale nie jest wyrażenie osobowości twórcy, lecz przeciwnie: artysta powinien wyjść z siebie, zapomnieć o sobie i tworzyć dzieła żyjące własnym życiem, konstrukcje istniejące same dla siebie. Temu programowi pozostał wierny całe życie — kontynuował swe dzieło stojąc z daleka od wszelkich prądów muzycznych, często obcy dzisiejszym dążeniom i usiłowaniom, daleki lecz pokrzepiający swoją szlachetną, osmotnią sylwetką twórczą: wielkiego rzemieślnika-ascety. Mistrzostwo jego, to pasja ciulacza, skąpca, który nie może sobie pozwolić na uronienie żadnego blasku, żadnego efektu, lecz przemyślnie i skrupulatnie nanizuje drogie kamienie na jedwabną nitkę. To nie jest rozmach i intuicyjny, żywiołowy gest twórcy — to precyzyjne i mądre szlifowanie, wytrwale, konsekwentne i żmudne zbliżanie się do chłodnej doskonałości opalu; w pracy tej oświetla drogę ogromna kultura, subtelny, wyrafinowany smak ukazuje perspektywy i problemy — ale jest w tym jakiś brak młodości, jak wytrawne wino jest ta twórczość syna starej rasy, obciążonej i zmęczonej wiekami kultury.

Takie myśli krążyły mi po głowie, gdy udawałem się na festiwal ravelowski, który odbył się 1 b. m., z okazji pierwszej rocznicy zgonu, w *Salle Gaveau*. Ale tym razem muzyka Ravela zwyciężyła: stare wino posmakowało znakomicie! Koncert miał oprawę blizszą: sala nabita, krytycy w komplecie, wykonawcy (soliści i orkiestra *Lamoureux*) — wysokiej klasy. Jedyne może kapelmistrz (Bigot) nie dostrzegał się do ogólnego poziomu, ale mierni kapelmistrze — to podobno stała bolączka muzycznego Paryża. Najpierw dano *Pavane pour une Infante défunte*, utwór mający wdzięk antyki z subtelną dyskrecją stylizowanego; wyrafinowana prostota i przezroczystość tej muzyki przypomina jakieś precyzyjne rysunek na szkło. *Introdukcja i allegro* na harfę z orkiestrą ukazują nam Ravela — mistrza elegancji, błyskotliwości i wdzięku; utwór lekki jak pianka, instrumentowany po mistrzowsku — fachowcy tylko domyślą się,

ile żmudnego trudu kosztowało utkanie tej delikatnej koronki z glissand, pasaży, tryków i flażoletów.

Prawdziwą rewelacją były dla mnie 3 *melodie hebrajskie* na sopran i orkiestrę. Trzy króciutkie (1 — 2 minuty) utwory zrobiły ogromne wrażenie swą odrębnością, fantastyczną po prostu pomyslowością i znakomitą techniką kolorystyczną, skondensowaną na tak małej przestrzeni. Szczególnie druga z nich — to arcydzieło wywołujące trudne do oddania w słowach nastroje; dziwaczna perkusja w zestawieniu z jakąś groteskowo-żałosną, anakabrycznie podrygującą linią śpiewu — ma to w sobie jakąś zagubioną, żalosną egzotykę ghetta. Aria z *Godziny Hiszpańskiej*, choć efektowna i ciekawa — znacznie mniejsze zrobiła wrażenie; za dużo w niej obmyślanej drobiazgowo, kunsztownej roboty, za dużo właśnie — reżyserii.

A teraz *Koncert fortepianowy* (na dwie ręce — w odróżnieniu od *Koncertu* na lewą rękę). Pamiętam pierwsze wykonanie tego utworu przed laty w Warszawie pod dyktando samego Ravela (był to jego jedyny pobyt w Polsce). Mam jeszcze przed oczami drobny, siwego człowieka, który wstąpił na podium Filharmonii, aby wysłuchać powitalnego przemówienia delegata muzyków polskich J. Maklakiewicza. Ale utworu nie pamiętałem już zupełnie. Podobno Ravel pracował nad nim w ciągu 2-3 lat po 8—10 godzin dziennie. Pierwsza część rozczarowała — jakaś niejednolita, pozbawiona proporcji i równowagi. Za to druga — piękna. Początek nie zapowiada nic dobrego; długie, liryczne solo fortepianu rozwija się jakby z trudem, jakiś taki kulawy Chopin. Męczy się — pomyślałem. Lecz powoli z tego „męczennia” zaczyna coś wynikać: inwencja wygładza się i upływnia, wchodzi delikatne lecz szeroko rozbuławane tło orkiestrowe i stopniowo rozsuwa się jakby kunsztowna pajęczyna, urzekająca ładem, logiką i celowością, ujmująca liryzmem. Z nieomylnym poczuciem proporcji kompozytor urywa tę część, unikając przeciągnięcia struny; nadchodzi część trzecia, pełna suchej, motorycznej energii, bravurowego humoru i rozmachu — kończy się istną orgią wirtuozostwa instrumentalnego. Utwór przyjęto huraganem oklasków.

Na zakończenie słabszy utwór — *Tzigane* i słynne albo raczej osławione *Bolero*. O utworze tym powiedziano już tyle złego, ile tylko się dało: że to twórczość „aptekarska”, rzemieślnicza dłubanina, sucha, wyłącznie techniczna kombinacja itd. Istotnie koncepcja jego jest ryzykowna: jedna melodia (nb. świetna) powtarzająca się około 20 razy, podejmowana kolejno przez wszystkie niemal instrumenty i z rzeczywiście aptekarską precyzją wystopniowana. To utwór-idea, utwór-program, suchy ramowy i schematyczny jak każdy program, ale dobre wykonanie może tchnąć weń życie, ha — nawet uczynić go porywającym.

Opuszczałem koncert pod wrażeniem; Ravel tym razem „wziął”. Może nie przekonał, ale zmusił do uznania — jak każdy twórca, który całe życie pozostał konsekwentny i wierny sobie.

STEFAN KISIELEWSKI

PRZEGLĄD PRASY

Plon prasy świątecznej przedstawia się w tym roku niezbyt bogato. Przeważają jak zwykle w numerach okolicznościowych *Czas* tym razem mniej się wysilił, zużywszy całą energię na wydanie Księgi pamiątkowej. Jednakże, choć wydany w mniej okazałych niż zwykle rozmiarach, numer świąteczny *Czasu* wybija się na czoło pism codziennych, głównie z powodu licznego udziału profesorów, którzy wnieśli dużo materiału cennego i poważnego. Wymienimy tylko niektóre artykuły: prof. R. Dybowski rozważa stosunek Szekspira do katolicyzmu, prof. T. Kowalski — kierunek ludowy w polityce i nauce tureckiej, prof. F. Walter — biblioterapię, prof. W. Wilkosz — proces Galileusza. Z rzeczy literackich wymienić należy szkic Czachowskiego o Dygasińskim i Winowskiej o Francis Jammesie.

Trafne i godne przytoczenia uwagi znajdujemy w artykule prof. Wachholza „Minął wiek złoty...”. „Przeciętny student dzisiejszy wykreślił ze swego słownika słowo „uczyć się”, zastąpiwszy je słowem nie identycznym „czytać”. Student dzisiejszy nie uczy się, dlatego niechętnie używa wyrażenia „uczeń”, on czyta podręczniki naukowe a częściej sporządzane z nich skróty, tak jak się czyta gazety codzienne lub powieści, i sądzi, że po jednym ich przeczytaniu już sobie ich treść przyswoił”. „Uczyć się to nie znaczy tylko czytać, ale także utrwalać w swej pamięci, czego się dokonywa przez powtarzanie, bo jak dawniej już dzieci powtarzano *repetitio est mater studiorum*, co się na polskie wyklada „powtarzanie jest matką nauk”.

Z wierszy zasługuje na wymienienie tylko wiersz L. Piwowara. W tej dziedzinie *Czas* odznacza się przesadną wyrozumiałością i tolerancją, niepotrzebnie drukując na swoich łamach plody różnych grafomanów.

Mit „młodych” w założeniu samym jest czysto deklamacyjny... Heretyckie to twierdzenie wygłasza Jerzy Zagórski w artykule „Zwodzone mosty”, drukowanym w trzecim numerze *Comodii*. Mit młodości zaczyna się dzisiaj analizować krytycznie, mniej natomiast zwraca się uwagi na jego źródła. „U jego genezy zaś tkwi coś z ochlapu rzucanego „młodym”. Przez głoszenie tego mitu pokrywa się pewną podwójną buchalterię społeczno - życiową. Stosunek bowiem do młodości jest ściśle deklamacyjny — tak samo jak np. do ludu. „Ludowość”, „chata”, „kilimki”, „len”. Jedno, drugie stypendium, jedna, druga kariera (są tacy co na samej swojej „młodości” robią dziś karierę, tak samo jak na samym „chłopskim” pochodzeniu) — nie rozwiązują kwestii ogólnie - społecznych, które tylko na spaleniu barier przestarzałych, nie istniejących, i na zauważeniu istniejących różnic — mogą znaleźć podstawę do rozwiązania. Idealizm, jak i optymizm, do niczego tu nie doprowadzą”.

Aktualne rozważania Zagórskiego prowadzą do wniosku zgola paradoksalnego: mit młodości jest bronią, używaną skutecznie przez starszych... przeciwko młodym. On to sprawia, że młodzi w nieskończoność pozostają „młodymi”, to jest niepełnoletnimi, którymi trzeba się opiekować ale których nie trzeba i nawet nie można traktować na serio jako równych partnerów!

Na marginesie powyższego artykułu warto zacytować z *Myśli Polskiej* surową, zapewne jednostronną, ale zastanawiającą opinię o działalności t. zw. „Młodego Teatru”. „Zadanie instytucji tego rodzaju nie polega chyba na biernym wyczekiwaniu na autora, który napisze świetną sztukę i przyniesie ją do laskawej oceny. Rzecz polega raczej na tym, aby istotnie stworzyć warunki, sprzyjające pracy dramatycznej. Gdyby „Młody Teatr” ogłosił konkurs na dramat, do którego zostałoby zaproszone szerokie grono młodych pisarzy na warunkach odpłatności, tak jak to się praktykuje z zamkniętymi konkursami plastycznymi, byłby w tym jakiś sens i celowość. A przynawanie stu pięćdziesięciu złotych stypendiów na jeden czy dwa miesiące z pewnością nie zmieni i niczemu nie zaradzi”.

Autentyzm jest nieśmiertelny. Przeciwnicy uparcie zwalczają go i „demaskują” jako ... widmo, cieni rzeczy nie istniejącej, a Czernik, niezmordowany szermierz tego... terminu, śmieje się. „Ten przedziwny człowiek sztydzi z tych, co mówią, że to wszystko jest „nic”, a potem to „nie” jednak

zwalczają. Jak gdyby — powiada mądrze Maśliński — zwalczanie fabrykacji bieżów z piasku, mówiąc ściślej — *hipostaz teoretycznych* w imię starej zasady logicznej *entia non sunt multiplicanda* — nie było smutnym obowiązkiem krytyki”.

W ostatnim numerze *Okolicy Poetów* Czernik usiłuje przekonać niewiernych Tomaszów i analizuje przykładowo kilka utworów autentycznych. Jakoś nie bardzo te analizy oświecają. Nic ważnego nie znajdujemy również w wierszach, zamieszczonych w tym numerze. Na podkreślenie natomiast zasługują recenzje poetyckie redaktora z ostatnich tomików Wierzyńskiego, Przybosa i Karpińskiego. Nie pozbawione są one sprostowań bystrzych i dobrze sformułowanych.

Wartościowe są również artykuły polemiczne Czernika zamieszczone ostatnio poza *Okolicą*. W *Fantanie* (pod tą egzotyczną nazwą zaczął niedawno wychodzić w Katowicach dobrze się zapowiadający miesięcznik literacko-artystyczny młodych pisarzy śląskich) ukazała się polemika z artykułem L. Frydgo o trzech pokoleniach literackich, drukowanym w *Pionie*. W gruncie rzeczy twierdzenia i obserwacje Czernika nie stoją bynajmniej w sprzeczności z artykułem przezeń zwalczanym, raczej uzupełniają go: spojrzem „od góry”, t. j. od osiągnięć dojrzałych, przeciwstawia spojrzem „od dołu”, od „ilości”, której nie należy, z daniem autora, lekceważyć.

W *Naszem Wyraźniu* znowu ogłasza Czernik artykułik pod sensacyjnym tytułem „Czy awangarda awangardą totalizmu?”. Zbyt skromne rozmiary nie pozwoliły tematowi rozwinąć jak należy. A przecież jest chyba w tym przesadnym sformułowaniu tytułowym coś z prawdy, i nie można go tak lekko zbywać jak to uczyniono ze strony redakcji krakowskiego miesięcznika. Czernik zapowiada, iż powróci do owego problemu w jednym z najbliższych numerów *Okolicy*.

Grudniowy zeszyt łódzkiej *Wymiarów* przynosi jako pozycję czołową i główną tekst dialogu radiowego prof. J. Krzyżanowskiego, St. Miłaszewskiego i W. Wahnouta o ostatnim dwudziestolecu literatury polskiej. Dialog zaciękawia jako dokument pewnych istniejących w kołach inteligencji opinii. Opinie te zresztą nie wydają się dostatecznie uzasadnione ani przemyślane przez rozmówców. *Verba volant, scripta manent...* i może lepiej byłoby tych słów ulatujących w eterze nie utrwalać w druku. W ogóle „dialogi radiowe” dotychczas przynosiły same rozczarowania. Sładz szlachetna sztuka rozmowy nie kwitnie w dzisiejszych czasach.

Po zamknięciu *Kultury Łodzi* pojawiło się w charakterze partnera *Wymiarów* nowe czasopismo: *Odnova*, wychodzące pod redakcją M. Piechala. Pierwszy numer przynosi materiał bogaty i różnorodny, może nieco bezkierunkowo zestawiony, ale zajmujący. Ciekawy jest szkic Skwarczyńskiej o literaturze katolickiej, pozytywnej — szkice popularny Terleckiego „Czego szukamy w teatrze?”. Szukamy w nim — powiada autor — rozrywki lub podniesienia duchowego. Jedna i druga potrzeba — jest uprawiona, tylko nie wolno zapominać o tym, że teatr — czy to rozrywkowy czy poważny — winien być sztuką. Inaczej nie ma granicy między sceną rozrywkową a cyrkiem i sceną poważną, a dajmy na to, kazałnicą.

W notach redakcyjnych *Odnowy* „Andrzej Stałow” (*sic*) walczy namiętnie i zawiście z upiorem awangardy. Walczy tak już od lat! Ale na szczęście ani słowem nie zaczepia *Wymiarów*. Także i *Wymiary* w numerze grudniowym żadnych zapędów militarnych nie objawiają. A więc — pokój. Oby trwał jak najdłużej!

KSIĄŻKI NADESŁANE

HENRYK ZBIERZCHOWSKI: *Kariera pana Franciszka*, powieść. Str. 263. Lwów 1939. Księg. A. Krawczyński.

K. MAKUSZYŃSKI i M. WALENTYNO-WICZ: *Wanda leży w naszej ziemi...*, książeczka dla dzieci. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa.

EWA SZELBURG-ZAREMBINA: *Dzieci miasta*. Książka zatwierdzona do bibliotek szkolnych. Ilustracje Juliusza Krajewskiego. Str. 48. Warszawa. Gebethner i Wolff.

PLACÓWKA

W Chełmie Lubelskim, na ziemi na wpol już kresowej, wychodzi miesięcznik literacki *Kamena*. Przed kilkoma dniami ukazał się numer podwójny tego pisma, 53/54 z kolei. Miesięcznik ów pod redakcją niestrudzonego K. A. Jaworskiego reprezentuje w obliczu współczesności cechę, która dawniejszemu, przedwojnemu pokoleniu Polaków nie była obca ni też dziwna, cechę ikarowego trudu, ikarowego lotu. Nim się dokonały w psychice zbiorowej radykalne przemiany związane z rozlicznymi czynnikami życia w Polsce wolnej i niepodległej, ten właśnie typ, ikarowość, to była nasza niemal wyłączna własność, *specialité de la maison*. Pókiśmy byli na dorobku, póki się walczyło, tym a nie innym sposobem ciągnęli ludzie złotą nić Sprawy przez wielkie S i tak właśnie organizowali, działali, podnosili, krzepili i jak się to tam jeszcze nazywało...

Lecz przyszedł inny czas. Nawał roboty, zwanej konkretniejszą i bardziej realną, zaspiał źródła entuzjazmu ikarowy i na pró-

żno co druga odezwa, wezwanie czy orędzie nawołuje do ich odkopania. Niestety, jest to jedna z tych spraw które jeśli są, to są, a jeśli ich nie ma, to „zrobić”, wywołać ich — nie podobna i na to nie pomoże najusilniejsza nawet propaganda, ostatnie bożyszcze dnia współczesnego, rzekomo wszechmocne...

Ikarowy trud, to określenie nie jest w stosunku do redaktora *Kameny* pochwałą, jedynie kwalifikacją rzeczy, jej charakterystyzowaniem. Pismo walczące z trudnościami technicznymi, ubogie, nie placące honorariów, a mimo to posiadające wyraźny charakter — to nie byle co. Dodajmy jeszcze, że z numeru na numer *Kamena* stara się utrzymać kontakt z „wielkimi parkietami Europy” poświęcając sporo miejsca twórczości obcej, w pierwszym rzędzie twórczości sąsiedzkich narodów słowiańskich, że jest wolną trybuną, i to naprawdę wolną, wszelkich wypowiedzi artystycznych, a obraz będzie zupełny.

Redakcja: Warszawa, Chmielna 33, telefon 3.04.09; czynna codziennie (w dni powszednie) od godziny 13 — 15. Rękopisów nadesłanych nie zwraca się. Administracja: Warszawa, Chmielna 33, tel. 3.04.09; czynna codziennie od godziny 12 do 14. Prenumerata w kraju: mies. 1.80 zł., kwart. 5 zł., rocznie 18 zł., za granicą: mies. 2.50 zł., kwart. 7 zł. Ogłoszenia: za wiersz 1 mm. szerokości 1 szpalty — 60 gr. za tekstem; 80 gr. w tekście. Konto P. K. O. Nr. 18.590.

ZA REDAKCJĘ: Roman Koloniecki

ZA WYDAWCĘ: Kazimierz Sowiński